



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych, po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60 kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

Ekspedycja główna w księgarni wydawcy
Krakowskie-Przedm. Nr. 411 (nowy 7).

W Cesarstwie Austriackim: we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartal. flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 60.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 30.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebnera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 20.

O POWIEŚCI TEGOCZESNEJ.

PRZEZ

Jana Zacharjasiewicza.

(Dalszy ciąg).

Dawna epopea, przy zmienionych warunkach życia, stała się romansem, powieścią, czyli powieścią dzisiejszą jest epopeą nowożytną.

O tem przejściu starożytnego eposu w romans nowożytny, powiada *Carrière*:

„Dopóki świat poezji nie był po za światem prawdy, dopóki w sztuce nie było nic, coby nie prawdziwym i nie rzeczywistym nazwać można, dopóki przeciwnie ta sztuka była tylko jądrem i rozpromienieniem rzeczywistości, dopóty wystarczała epopea za odpowiedni idealny obraz młodego, bohaterskiego wieku narodów i widzieliśmy, jak ona z rozszerzonych w całym narodzie opowieści wyrasta i przy sprzyjających okolicznościach dojrzewa.

„Gdy jednak przy postępie oświaty historia, filozofia i religia wspólną kolebkę poezji opuszczają; gdy zakresy różnych zawodów życia się dzielą, a pojedyncze lepiej uposażone osobistości z substancji ogółu, co raz więcej się wydzielają, aby dla siebie własny byt wywalczyć; gdy duch ludzki już nie może dobrodusznym pozostać przy wierze ojców, tylko gorącą walką dojść musi do uspokojenia się we własnym przeświadczeniu; gdy zewnętrzne życie staje się zbiorem prawnych instytucji i istniejących przepisów, a niewdzięczny umysł ze swymi snami i nadziejami naprzeciw niemu stoi i dopiero ma się z nim razem zejść i pojednać — wtedy zmienia się zadanie epickiego poety; wtedy powinien on mieć własny pogląd na świat, który dany materiał rzeczywistości organizuje za pomocą sztuki tworzenia,

wtedy powinien on wewnątrz tego rzeczywistego świata, wprowadzić świat serca, z całą jego wewnętrzną istotą, albo pojedyncze prywatnego życia zawody, wtedy do prozy życia powinna się stosować i proza języka, tem bardziej, jeżeli poeta kreacyom swojej wyobraźni musi dać grunt rzeczywisty, aby tym jaśniej i zrozumialej dowieść prawdy idealnych twórców. Poezja cofnęła się do wnętrza duszy; rozwój indywidualności wśród prozaicznych, tak sprzecznych z sobą stosunków świata, wymaga sztucznego jej odżycia: tą wskrzeszoną istotą jest powieść.

Słusznie powiada *Jean Paul*, „że romans przede wszystkim powinien być romantycznym. Powinny go ożywiać idee świata romantycznego, jako to: honor, miłość, wolność; w nowych kierunkach i obrazach życia musimy napowrót znaleźć te piękno, które myt objawił, a w rzeczywistej mądrości życia prawdę, której dał nam przecucie. Poeta nie powinien pomijać starannych postaci rzeczywistości, przeciwnie, on powinien ukryte w nich piękności odsłonić, do właściwego stosunku sprowadzić... Nie chodzi tu tylko o zaciekawienie przez sytuację, ale o charakter i o myśl, która te charakter i zdarczenia ożywia. Bohater nie powinien być jak w dramacie, siłą naprzód pędzącą i działającą; wśród nieuniknionych okoliczności i biegu rzeczy stoi on w odpowiednim sobie świecie, ale okoliczności te muszą coś z człowieka zrobić, świat zewnętrzny musi wejść do wnętrza duszy i tam się odtworzyć; niezgodne z sobą zasady muszą wystąpić w świetle wyższej zgody i porządku, chociażby serce tragicznie roztrząsać się miało o twarde świat rzeczywisty, albo się z nim pogodzić, urabiając go do większej z sobą harmonii.

„Dzisiejszy powieściopisarz nie podnosi oczu z uwielbieniem do powieściowych postaci i stosunków wspaniałych wieków bohaterskich, unosi się więcej nad rozdartym, rozbitym, pełnym braków i sprzeczności światem, patrzy na niego okiem miłości

i łagodnej ironii, ale nie przepuszcza jego śmiesznościom i przewrotności, maluje ją z humorem malarza rodzajowego, wydając wyroki poetycznej sprawiedliwości, która w samym biegu świata znajduje i zapomocą sztuki uwypatnia wieczne, boskie prawa, jak tego rozum i sumienie wymaga.“

Znany estetyk *Vischer* powiada: „Czasy nowożytne, po niektórych próbach przewrotów w poezji, położył na miejsce epopei — romans. Rodzaj ten gruntuje się na doświadczeniu, a sceną dla romansu jest rzeczywisty porządek świata, na którym jednak wynajduje on miejsca stosowne do ruchu idealniejszego.“ Według *Vischera*, rodzajem romansu, czyli jak my mówimy, powieści, jest wydobycie napowrót zatraczonej przez świat poezji, jak z twardych brył granitu dobywa się bogaty kruszec, który potem sztuka i umiejętność przerabia. Powieść więc szuka poezji i prawd odwiecznych tam, gdzie one się ukryły, gdy świat zewnętrzny zamierał w twarde, nieubłagane formy, szuka ich w szczuplejszym kółku, w rodzinie, w życiu prywatnym, w indywidualności, a w końcu w głębi duszy ludzkiej. Z tego więc wypływa — mówi *Vischer* — że właściwym przedmiotem powieści jest walka tego, co się znajduje we wnętrzu człowieka, z twardą skorupą świata rzeczywistego.“

„Jak w epopei tak i w powieści zużywa się pierwsza postać bohatera, ale ta nazwa — powiada *Vischer* — jest tutaj raczej z ironią użyta. Bohater bowiem powieści nie jest ujemnym, jak w dramacie, ale właściwie biernym. Jest on tylko ogniskiem przerabiającym pewne działania, w którym schodzą się warunki życia światowego, przewodnie siły całej oświaty pewnej epoki, zasady społeczeństwa i skutki stosunków. Na tym obszarze życia odbywa bohater kurs nauki i przechodzi przez szkołę doświadczenia. Tutaj jest wielkim czynnikiem miłość. Cały świat nowożytny widzi w tem uczuciu uzupełnienie człowieka. W wychowaniu więc bohatera jest miłość ważnym momentem, miłość kobiety, która jest uosobieniem tego, co czysto ludz-

kie i idealne. Miłość jest tutaj niejako surrogatem sztucznej poezji, na której gruntuwał się pogląd światowy czasów heroiczno-epicznych. Do tego bowiem uczucia wiąże się najgłębsze przemiany istoty człowieczej, namiętność ta, oparta na zmysłowej podstawie, porywa całego człowieka, wprawia w ruch wszystkie jego duchowe siły, wywołując zmiany, rozkosze i boleści; ona staje się węzłem, przez który przechodzi wewnętrzny rozwój człowieka, chociażby ten rozwój do wyższych od niej celów dążył. To więc sprowadza nas do powyższego założenia, że powieść szuka poezji w prozie życia dzisiejszego, że tylko tajemnice życia duchowego są owym ustroniem, gdzie poezja się skryła, podczas gdy świat realny stał się prozaicznym. Walki ducha, sumienia, głębokie przejścia przekonań, pogląd na świat, który zdobywa sobie pewną wydatną osobistość, połączony z walką wewnętrzną istoty swojej — oto zadanie i bojowisko powieści.

Hegel powiada, że całym zadaniem powieści jest: na polu rzeczywistości walczyć o zatracane prawa poezji.

Oto są charakterystyczne cechy, jakie powieści nadają najznakomitsze powagi świata naukowego.

Rzućmy teraz pobieżnie okiem na dzisiejszą powieść, jaka przejawia się na obszarach literatury europejskiej i porównajmy dzisiejszą jej cechę charakterystyczną, z cechami, jakie jej nadają najznakomitsi, wyżej przytoczeni, estetycy.

Zacznijmy od francuskiej powieści.

Widok tej cory nadobnej sprawy przykre wrażenie. Jest piękna i dowcipna, ma ruchy swobodne i wdzięczne, umie zająć i zachwycić, ale gdy bliżej się w nią wpatrzmy, spostrzegamy, że ten urok jaki na nas wywiera, nie jest rezultatem tryskającego życia, ale prostą rutyną tylko, nieurzoną tradycją tego, co dawniej żyło i świetnie było.

Tyle co do zewnętrznej, zawsze jeszcze eleganckiej formy. Nad treścią zaś tej formy możnaby czynić długie, filozoficzne studia.

Przedewszystkiem trzeba rozwiązać pytanie: czy powieść francuska tylko to daje, co społeczeństwo samo z siebie wytwarza, czy też w pewnym kierunku wyprzedza społeczeństwo i maluje je takiem, jakim ono być może w przyszłości, postępując tą drogą dalej?

W pierwszym przypadku należałoby głęboko ubolewać nad tem społeczeństwem. Według charakterystycznych cech dzisiejszej jego powieści, byłoby ono w zupełnym rozkładzie, w dziwnem rozprężeniu wszystkich tych węzłów, które trzymają budowę każdego narodu. Istnienie tego społeczeństwa nie byłoby już życiem samoistnem, ale rutyną tylko, zapomocą której można jeszcze czas niejaki udawać młodość, wdzięk i zapał, zanim nieubłagany wlos siwy przebieje koronki brukselskiej i okaże w zwierciadle zbliżającą się starość. W takim razie jedna tylko pozostałaby pociecha, to jest: że naród nie składa się z jednego pokolenia, że z tem pokoleniem nie starzeje się i nie umiera, ale odradza się z młodem, odżywia się swoją latoroślą.

Co zaś do drugiej alternatywy, nad tą dłużej zastanowić się trzeba.

Jeżeli powieść nie maluje, czy raczej nie fotografuje istniejącego społeczeństwa, ale niejako wyprzedza je, stawiając mu przed oczy obrazy jego najbliższej przyszłości, gdy drogą, na którą weszło, dalej pójdzie; jeżeli dla nauki maluje mu jego przywary, zdrożności i zbrodnie w skutkach i ostatecznościach jak najjaskrawszych; jeżeli do tych obrazów dobiera farb olśniewających i drastycznych ugrupowań na to, aby tym wymowniejszą była przestroga; jeżeli w końcu dla studyów patologicznych obnaża ciała ludzkie i dla eksperymentu galwanizuje je rozkoszą grzechu i występku, aby potem dać naukę, co ten grzech i występki za sobą w skutkach przynosi, to nauka taka może się stać szkołą tych grzechów i występku, przeciw którym właściwie była wymierzona; może na tych grzechach i zdrożnościach wychować i ubezwładnić całe pokolenie, może, jednym słowem, na długi czas, aż do reakcji, zatrzeć cały organizm społeczeństwa.

Powtórzmy tutaj owe charakterystyczne cechy, jakie powieści nadają estetycy i przyłożmy miarę tych cech do dzisiejszej powieści francuskiej.

Według nich, powieść powinna stać na straży prawdziwej poezji człowieka i świętych prawd ży-

ciowych. Przy coraz większym krzepnięciu skrupy rzeczywistych stosunków świata, powinna powieść pilnie śledzić, gdzie się ukrywają te prawdy boże i ta poezja ducha ludzkiego i wydobywać je na świat, jako prawdziwą istotę życia. Gdy instytucje państwa, przesady i stosunki społeczne w pewne przeciwne prawdom ducha formy kamienieją, zadaniem powieści jest szukać w tych skamieniałościach ukrytych żył złotych i łączyć je razem w taki sposób, aby w tych rozłamanych i skrzepłych formach rzeczywistości uwidatniła się ukryta złota spójnia z poezją i prawdami bożemi.

Jeżeli więc głównem zadaniem powieści jest walka o święty ogień, przy co raz większym krzepnięciu form rzeczywistego życia; jeżeli powieść stawia opór temu, co już stało się rzeczywistością i poezję ducha skrzepłą skorupą swoją obejmuje, to powieść francuska uwidatnia nam przedewszystkiem walkę przeciwtemu, co według niej stało się już rzeczywistością, walkę przeciw wolnej praktyce namiętności a o zatraconą poezję ducha i święte przypadłe jej prawa, do jakich zalicza się tutaj — instytucja małżeństwa!

Według powyższych zadań i cech powieści powieść dzisiejsza francuska uważa instytucję małżeństwa za utracone lepsze prawo człowieka, za odbiegłą już od krzepnącej nowej rzeczywistości poezję, za ukrytą w tych nowych skamieniałościach złotą żyłkę, którą mozolnie śledzić potrzeba!

A ową ogarniającą ten skarb człowieka rzeczywistością, ową nową światą społecznego skorupa, która na gruzach wystraszonych prawd ducha i poezji zasklepia się w nowy poziom życia — jest wolna praktyka miłości po za granicami instytucji małżeńskiej.

Taką walkę przedstawia nam dzisiaj powieść francuska.

Instytucja małżeństwa występuje tu jako konieczny jeszcze, ale już utracony raj ludzki. Złota obręcz tej instytucji już ma rysy, szczyrby, już pęka. Para ludzi, albo jedno z nich, nudzi się już tą instytucją sakramentalną i społeczną. Po za nią otwiera się świat nowy, sztuczny wprawdzie, ale bardzo pojętny. Świat ten krystalizuje się coraz więcej w stałe formy i spycha dawny, którego prawa sobie przywłaszcza.

Panuje w tym nowym świecie kobieta rozkoszna, wolna od wszelkich społecznych i religijnych obowiązków. Przyrodzone przymioty kobiety umie ona podnieść do kunsztu, do sztuki. Jest czasem artystką z zawodu, a zawsze artystką w miłości. Miłość, ów prosty, rodzinny klejnot kobiety, błyszczy u niej w misternej, złotej oprawie, jak drogi kamień, oszlifowany do łamania tysiącznych promieni. To kunsztowne, do najwyższej sztuki podniesione u niej uczucie kobiece, staje się dla niej bronią zaczepną. Pociskom tak wprawnej ręki nie się nie oprze — wszystko pada u jej stóp, a złota obręcz instytucji małżeństwa staje się wobec niej zimnem żelazem.

W tym samym świecie, obok tej rozkosznej kobiety, widzimy także męskie postacie. Czasem jest to młody, przystojny mężczyzna; stoi on na wyższym od kobiety poziomie. Jest często wychowalcem sztuki, ale ze sztuką i kunsztem owej kobiety nie ma nic wspólnego. Czasami jest muzykiem z długimi włosami, lub malarzem w ubraniu aksamitnem. Gdy jest poetą lub literatem, nie ubiera się tak wytwornie, ale za to deklamuje wiele i rozprawia jeszcze więcej. Są to upragnieni goście budoarów.

Czasami postać ta męzka w tym samym świecie wygląda zupełnie inaczej. Nie jest ani młoda, ani nie umie grać, malować lub pisać. Jest często nawet brzydka i koszlawa. Ma jednak przy sobie duży worek pieniędzy, a w perspektywie — giełdę.

Miedzy tą a pierwszą postacią, trzyma środek człowiek już nie bardzo młody, ale jeszcze dosyć przystojny, przedewszystkiem z pewną rutyną. Jest on często przyjacielem owej kobiety i chodzi nawet czasami jej drogami. Jest to w swoim sposobie bohater, przed którym nie się nie ostoi. Obrabiał także z całą świadomością swój zawód i jest nawet o tyle rycerskim, że nie liczy swych ofiar.

Otóż to są czynniki tego nowego świata, który według powieści francuskiej, stał się już rzeczywistym światem. To co po za ten świat uciekło, wal-

czy już słabo o swój byt pozorny, walczy tylko dla przyzwoitości, pour le succès d'estime!

Instytucja małżeństwa, jest według powieści francuskiej, osaczona tym nowym światem. Ulega prawie zawsze jego natarciu, rozyrywa się i na jakiś czas nawet znika z przed oczu czytelnika. Dopiero w ostatnim rozdziale, ku naszemu zbudowaniu, widzimy znowu razem małżonków, wracających ze swoich wycieczek niefortunnych, jak o tem świadczą obwiązane głowy. Autor cieszy się z ich powrotu do gniazda i uspakaja czytelnika, że ich rany zagoją się i że prawdopodobnie drugi raz tego nie uczynią. Ale czytelnik, jeżeli nie jest bardzo starym, nie wierzy temu zapewnieniu autora, autor bowiem roztoczył przed nim w ciągu powieści, tak rozkoszny obraz tego nowego świata, w którym odbył się długi i cudowny epizod zbłąkanego małżeństwa, że czytelnik nie tylko w dalszą trwałość sakramentalnego węzła nie wierzy, ale nawet sam wzdycha do owego epizodu, w jakim przebywali tak rozkosznie zbłąkani pielgrzymowie powieści.

Zdaje się nawet, że czytelnik po bliższym namyśle, nie wierzy, aby autorowi chodziło rzeczywiście o jakąś moralną prawdę. Przylepiam mu ją wprawdzie autor na ostatniej kartce, ale robi to tylko dla zwyczajnej i tradycy. Czytelnik coraz więcej przekonywa się, że autorowi nie szło o walkę na seryo, że powieść jego jest tylko zrezygnacją reklamą, dla owej niebezpiecznej kobiety.

Instytucja małżeństwa służy tylko za ramy dla tego jaskrawego obrazu, na którym uwidatniają się ciekawe katastrofy, wzruszające perypece i kunsztowne epizody. Treść taka rozsada zazwyczaj te ramy, które się czasem w ostatnim rozdziale sztuczają i nitują, a czasami odpadają jako rzecz niemożliwa i z naturą namiętności ludzkich nie zgodna.

Rodzina, obowiązki domowe i społeczne, religia, nie tutaj nie pomagają, serce jest tylko węzłem rozigranych nerwów, a jedynym lekarstwem — przesyty, znużenie i potrzeba odpoczynku. Rozum i rozwaga osaczone są przez namiętność, która nie zna ani Boga, ani sumienia. Dom, dzieci padają ofiarą, a zbłąkani bohaterowie i bohaterki zatrzymują się dopiero na widmo zbrodni, które im autor w zwierciadle pokazuje, a w którym sami siebie poznać mają. Następuje odwrót, a ramy instytucji małżeństwa zwierają się za nimi, ale tak słabo, że w ich trwałość trudno uwierzyć.

Jest to więc owa oaza szczęścia i jedynej poezji życia, za którą, według dzisiejszej powieści, wzdycha społeczeństwo francuskie, której szuka wśród nowej rzeczywistości, jako czegoś, co już odbiegło i ukryło się pod krzepnącą skorupą.

Miłość młodzieńca lub dziewczyny, która prowadzi do ołtarza, już bardzo rzadko bywa tematem powieści. Potęgi romantycznego świata: honor, szlachetna duma, żądza wyższych czynów, nie stanowią prawie żadnego jej czynnika. Jest tu tylko prosta walka z najniższą namiętnością, a do prawdziwego zwycięstwa nie ma bohater ani sił własnych, ani pomocy z zewnątrz, jaką dawniej była opinia ludzi uczciwych.

(Dokończenie nastąpi).

NIEWIASTA POLSKA

W POCZĄTKACH NASZEGO STULECIA

(1800—1830 ROKU)

PRZECZ

K. Wł. Wójcickiego.

(Dalszy ciąg).

Choroba. — Zniknięcie kwestarza. — Ojciec gwardyan. — Zosia Jasielska. — Stefan Pszonka. — Pojedynek. — Swaty brata Adama. — Rozmowa z księdzem gwardyanem. — Wyjazd z klasatoru. — Imieniny. — Porozumienie. — Gody weselne.

Kwestarz uklonił się pokornie i wszedł do sali. Drzwi wielkie szklane wiodły z niej do ogrodu, w którym cała rodzina pułkownika była zebrana i goście z sąsiedztwa.

W głównej alei, tarcza jako cel ustawiona, do której oficerowie i młodzi ziemianie strzelali.

Strzały szły częste, ale oprócz celnych były i gęste pudła, gdy śladu kul nie pozostało na tarczy.

Pułkownik śmiał się radośnie i żartował sobie z niezdarnych strzelców.

— Toby już lepiej trafiał do tarczy nasz kwestarz! mówił zwrócony do bernardyna.

Młodzież schwytała wlot te słowa: porwali Narcyza, a dając mu w rękę pistolet dziarski porucznik przemówił:

— Ręczę wam honorem, koledzy, że nasz dzielny kwestarz wszystkich zawstydzi.

Badał go bowiem uważnie i śledził ruch jego każdy.

Kwestarz zaledwie dotknął się broni, drgnął jakby iskrą elektryczną dotknięty: stanął na mecie oznaczonej, zręcznie i składnie wymierzył i kula w sam cel środkowy trafiła.

— A co? nie mówiłem! zawołał tryumfująco porucznik.

— To nie na raz sztuka! zawołali drudzy, strzelaj no prosimy dalej kwestarzu!

Narczy tak zachęcony dwanaście bez przerwy dawszy wystrzałów, ani razu nie chybił; kulę na kulę nasadzał.

Zdumienie wszystkich było nie do opisania. Pułkownik w uniesieniu zaczął ścisnąć i całować kwestarza, a młodzież uniesiona zapalem porwała go na ramiona. Właśnie żydowska była kapela, sprowadzona z pobliskiego miasta, bo miano zamiar tańcować, a ochotników tak pięci pięknej jak i męskiej nie brakło we dworze pułkownika; pierwszych było grono liczne, nietylko samej jego rodziny, dorodnej małżonki i czterech cór, ale pięknych krewniaczek i okolicznych sąsiadek.

Gospodarz, kazał przynieść wina węgierskiego beczkowego z zasobnej piwnicy i pradiadowski puhar sam pierwszy w ręce Majora wypił za zdrowie Kwestarza. Puhar obchodził kolej, a tymczasem wysoko siedzącego Narcyza niesiono, z okrzykami radośnymi. Na przodzie postępowała kapela: na czele jej szedł siwy cymbalista w towarzystwie dwóch skrzypków, zaniemi przywołany stary trębacz z pułku jazdy, a teraz dworski koniuszy, dalej dwóch znów skrzypków i bassetlista.

Tak cała gromada mężka, obeszłszy ogród, kolejkę z puhaem skończyła i stanęła przed otwartymi drzwiami od sali. Na tarasie ogrodowym zgromadziły się wszystkie panie i panny, patrząc ciekawie na to dziwne widowisko.

W tej właśnie chwili kwestarz otrzymał pełny puhar: Kaptur spadł mu z czoła, głowa się cała z obliczem wychyliła. Rozpromieniony takim uczuciem i ożywiony wypiękniał i na podziękowanie niósł go do ust, gdy z grona niewiast wybiegł krzyk przeraźliwy:

— To Stefan!

A następnie ruch niezwykle i postrach w całym kole niewieściem.

Młoda krewniacka pułkownika przybyła z Kalskiego niedawno, wydawszy ten krzyk, padła zemdlona.

Kwestarz ujrzał ją—krzyk jej był jakby gromem dla niego, bo puhar, który miał spełnić, wypadł mu z drżącej ręki, zbladł jak chusta, zachwiał się i pochylił.

Zsadzono go ostrożnie z ramion, ale ustać na nogach nie mógł i padł na trawnik. I dziwna zaszła scena. Kobiety omdlały trzeźwiły, a młodzież porwała na ręce kwestarza i poniosła do oficyny. Pułkownik przerażony, z małżonką swoją, biegali od jednego do drugiego na przemiany. Panna Zofia Jasielska powróciła do przytomności; Narcyz lubo nie zemdlął, był bezwładny i leżał jak martwy. Blask żywy oczu przygasł, spojrzenie osłupiało, błądność trupa na obliczu — piersiami tylko silnie robił.

Doktor sprowadzony krwi upuścił choremu, który zaraz znacznie swobodniej zaczął oddychać; wkrótce sen go ogarnął długi i twardy. Major i kilku młodych oficerów zasiadło w tej izbie z fajkami, ofiarując się pilnować tak dzielnego strzelca.

W sypialni pułkownikostwa, otoczona gronem niewiast i panien przerażonych spożywała piękna Zosia. Gospodarstwo naradzało się z sobą co robić — gdyż pora obiadowa właśnie się zbliżała; pułkownik więc zabrał Majora z jego towarzyszami

z oficyny, zastawiając przy śpiącym młodego fornała klasztorne, który był wielce przywiązany do kwestarza, a pani i wszystkie kobiety otaczające pannę Jasielską odeszły — pozostała przy niej tylko sędziwa krewna.

Obiad przeciągnął się długo, goście ochłonęli z pierwszego wrażenia; po toastach Major wysunął się do oficyny zobaczyć chorego kwestarza, ale wszedłszy do izby osłupiał, nikogo bowiem nie zastał. Bernardyn zniknął bez śladu. Wraca więc z pośpiechem i opowiada swoje zdziwienie, które wszyscy obecni podzieleni wspólnie; postanowiono jednakże tę wiadomość uciąć przed słąbą Zosią, dopóki niewyodręże po gwałtownym wzruszeniu.

Bocznymi drożynami wracał do klasztoru braci-szek Narcyz z próżną bryką. Zaledwie przed bramą stanął, wysiadł co rychłej i spiesznym krokiem udał się do ojca Gwardyana. Długo tam bawił i w parę godzin dopiero smutny i złamany wrócił do swej ubożnej celi.

Nazajutrz rano z wielkiem podziwieniem zakonników zajechały trzy fury ładowe z listem do księdza kwestarza Narcyza, w którym Pułkownik pozdrawiając go serdecznie, posyła mu ofiarę dla klasztoru, zapomnianą dnia poprzedniego.

Była to jedna z najobfitszych kwest do do razu otrzymanych. Dziesięć tłuścych skopów, zboża, maki, kaszy, krup dostatek; niezapomniano o baryłce dobrego wina i drugiej miodu.

Ksiądz Gwardyan sam odpisał do Pułkownika, dziękując pokornie za taki zasilek klasztoru, a gdy w parę godzin otrzymał list od tegoż przez umyślnego posłańca, co rychłej krytą bryczką już pod wieczór wyjechał.

Po ucieczce kwestarza, Pułkownikowa udała się sama do sypialni gdzie Zosia Jasielska, tak bliska jej krewna, gdyż to była córka rodzonej siostry jej męża, spożywała osłabiona i zamknawszy drzwi zażądała wyjaśnienia całej tajemnicy.

Biedne dziewczę z rzewnym płaczem opowiadało smutny dramat swego życia.

W domu rodziców, przed czterema laty, poznała młodego Stefana Pszonkę, który przybył do swych krewnych z Hiszpanii, ażeby wypocząć po trudach wojennych i odniesionych ranach.

Rodzice Zosi przyjmowali go z otwartymi rękoma. Matka uważała go za drugiego syna, kiedy niespodziewanie ojciec zachorzał i po kilku dniach umarł, a matka nie mogąc przeżyć tak bolesnej straty w parę miesięcy za nim poszła na cmentarz i we wspólnym grobie spoczęła.

Osierocona nagle, dotknięta została najboleśniej, gdy starszy jej brat Adam i jedyny z rodziny, żonaty i wyposażony dawno, objął nad nią opiekę.

Był to człowiek nie zły, ale szorstki, dumny i uparty: jeszcze żaloba się nie skończyła, gdy zaczął zalecać swej siostrze na męża, podsiwiałego wdowca, ojca czworga dzieci, bogatego szlachcica a przyjaciela swego.

Ażeby ułatwić mu drogę, ostro i niegrzecznie zaczął przyjmować Stefana; ten, gdy w tym domu zawsze gościnnym, od matki tak ukochanej miał już słodkie imię syna, dotknięty i oburzony był wielce tak niegodnym postępowaniem. Przyszło do starcia i słów obraźliwych: Stefan wyzwiał go na pojedynek.

Stanęli na przeciw siebie, w lasku brzozowym o pół mili za dworem: Adam Jasielski miał pierwszy strzał i chybił; Stefan wystrzelił znów w powietrze, ale Adam w uniesieniu obelżywymi słowy, nową mu rzucił w oczy zniewagę; nie mógł znieść tego młodzieńca: wymierzył, a po strzale Adam padł na miejscu.

Sekundant jego zbliżył się, a ujmując go za rękę, zawołał:

— Zabity!

Na ten wykrzyk straszny, Stefan dosiadłszy bryczki, w rozpaczę kazał gnać co konie wyskoczą do domu; po kilku dniach bolesnych sędziwemu krewnemu zostawił zarząd gospodarstwa swej wioseczki, w której się urodził, a sam udał się do odległego o mil dwadzieścia klasztoru bernardynów i przywdział habit laika. Ojciec Gwardyan sam tylko znał jego tajemnicę.

Zosia otrzymawszy list Stefana z ostatniem pożegnaniem, ciężką chorobą opłacała tak niespodziewaną rozłąkę, tem się tylko pocieszając, że brat nie był zabity, tylko ciężką odniósł ranę. Przywieziony do

siostry, otoczony jej troskliwością, po paru miesiącach wrócił do zdrowia. Wypadek ten wpłynął szczęśliwie na jego charakter; stał się dziwnie wyrozumiałym i żagodził, a widząc przywiązanie siostry do Stefana, przyrzekł, że nietylko żadnych przeszkód stawiać nie będzie, ale wszelkich dołoży starań, ażeby Pszonkę odszukać.

Alé Pszonkę przepadł jak kamień w wodę: krewniak nawet pozostawiony na gospodarce w jego wiosce, nie wiedział gdzie się obraca, bo żadnego listu nie otrzymał. Trzeba było szczęśliwego zdarzenia, znać zrządzenia Opatrzności, że Zosia z sędziwą ciotką swoją pojechała do pułkownikostwa, ażeby w gronie ich rodziny swobodnie odetchnąć.

Trzeci rok już się zaczynał od chwili nieszczęsnego pojedynku.

Kiedy ujrano we dworze pułkownika dobrze znaną brykę księdza Gwardyana, gospodarz z gośćmi swoimi wybiegł na ganek, przyjmując serdecznie upragnionego a zacnego kapłana. — Słą kolację zastawiono, na pierwszym miejscu ojciec Gwardyan posadzony, odbierał cześć i uszanowanie od wszystkich. Szlachetny człowiek i sługa ołtarza, ze słą wdzięczności odbierał te hołdy.

W późny wieczór, miał samotną rozmowę z pułkownikiem, która się do północy przeciągnęła. Nazajutrz liczni posłańcy rozesłani zostali z listami w różne okolice. Po wystawnym obiedzie wrócił gwardyan do klasztoru. Wszedł do celi brata Narcyza i rzekł uroczysto:

— Niezbadane są wyroki niebios! Bracie Narcyzie! Bóg się ulitował nad twoją niedolą — chodźmy do kościoła, podziękować mu za to jego miłosierdzie.

Narczy spojrział z podziwieniem na przełożonego, ale wdrożony do posłuszeństwa klasztorne, jak dawniej do subordynacji wojskowej, udał się za nim w milczeniu do kościoła. Razem uklekl przed wielkim obrazem ukrzyżowanego Chrystusa Pana i żarliwie się modlili. Kiedy w korytarzu rozechodzić się mieli, Gwardyan uściśnął serdecznie braciśzka i rzekł:

— Będzie też słońce przed naszymi wrotami! O nie więcej nie pytaj, choćby ci przyszło stan i habit odmienić.

Po tych słowach powolnym krokiem odszedł do swojej celi, a Narcyz stał długo jak skamieniały, z nim oprzytomniał i udał się na spoczynek.

Był też czas po temu, bo zegar klasztorny wybił właśnie dwunastą godzinę z północy.

W tydzień może, jeszcze sutsze dary, boła sześciu furach nadeszły dla Bernardynów i stadko owiec na imię kwestarza Narcyza. Stary Zakrystyan chodził jak odurzony, nie wiedząc co ma sądzić o tym laiku.

Tymczasem we dworze pułkownika ruch coraz większy; były to ostatnie dnie sierpnia. W tym roku przypadała uroczystość S-go Stefana w sobotę 2-go września, w tę dobę miała się tu odbyć wielka uroczystość.

Równy ze świtem tego dnia ksiądz Gwardyan poleciał Narcyzowi, ażeby wsiadł z nim do bryki, i w milczeniu przebyli dwie małe milki dzielące klasztor bernardynski od dworu pułkownika. Równy w nim ze wschodem słońca stanęli, i do przygotowanej oficyny wysiedli.

Stefan ani wiedział, gdzie przybył, zatopiony w swoim dumaniu. Zdziwił się wielce, gdy ujrzał wkrótce sędziwego krewniaka, którego zostawił na gospodarstwie w rodzinnej swojej wiosce. Za nim wszedł stary Szwolężer, który u niego po wyjściu ze służby wojskowej został na łaskawym chlebie, niósł on na rękę dawny mundur wysłużony Stefana z dwoma krzyżami na piersiach.

Wtedy rzekł poważnie ksiądz Gwardyan:

— Od tej chwili wasze przestajesz być bratem Narcyzem i wracasz do swego rodzinnego imienia....

Jeszcze nie skończył, gdy wechodzi pułkownik z majorem; za nimi wpadło kilku młodszych oficerów z okrzykami radości, aściskając go serdecznie zdarli zeń habit i w okamgnieniu w mundur przestróili.

Stał jak dziecko potulny Stefan, kiedy przyszedł nieco do siebie, pochylił głowę przed Gwardyanem, a całując jego ręce przemówił drżącym głosem:

— Dobry Ojcie! daj mi swoje błogosławieństwo!

Rozczulony kapłan, krzyż zażegnał nad głową pochylonego, zaledwie mogąc przemówić urywanym głosem:

— Błogosławie ci teraz i na całe życie! Wart jesteś szczęścia, boś zacny, dobry i pobożny człowiek!

— Śniadanie nas czeka! zawołał pułkownik, chcąc przerwać rozrównienie wszystkich; my z ojcem Gwardyanem naprzód! reszta za nami! Marsz! dyrekcyja na prawo!

Na ganku już oczekiwała pułkownikowa, witając uprzejmie miłych gości, roztwarzała drzwi na ścieżkę od sali: wszystkie panny i niewiasty trzymały w ręku bukiety, a w pośrodku ich grona, stała Zosia wzruszona, blada jak mówi piosenka ludowa:

„Biała jak lilia!”

Mając we włosach i u boku po białej różyczce.

Stefana wiedli pod ręce pułkownik i major; gdy spojrzali i ujrzała swoją Zosię, osunął się na kolana i rozpaczliwym głosem zawołał:

— Przebaczasz mordercy twojego brata!

— Brat mój zdrow i żyje! powstań, panie Stefanie! odrzekła dźwięcznym głosem.

Gwardyan przemówił:

— Nie pamiętasz słów moich, kochany bracie, że będzie też słońce przed naszymi wrotami...

Pułkownikowa dodała:

— Dziś imieniny pana Stefana, powinszujmy mu wszyscy...

Na te słowa całe grono kobiet zbliżyło się do niego, ofiarując przygotowane kwiaty. Pułkownikowa wzięwszy za rękę Zosię, wyprowadziła ją na środek sali i wyrzekła uroczystym głosem:

— Panie Stefanie, to twoja narzeczona! A gospodarz domu okazał wtedy *Indult* wcześniej wyrobiony, a zarazem przelanie na niego opieki przez brata Adama, który dla słabości żony i dwojga dzieci na ten dzień stawić się nie mógł, ale składa swoje najserdeczniejsze życzenia i przesyła uścisk braterski dla kochanego szwagra.

Tegoż dnia w pobliskim kościele parafialnym Ojciec Gwardyan połączył ślubem kochającą się parę; po sutych godach młode małżeństwo opuściło gościnnie dwór pułkownikowstwa, ażeby osiąść w rodzinnym gnieździe Stefana.

(Dalszy ciąg nastąpi).

HISTORIA

O JANASZU KORCZAKU

I O PIĘKNEJ MIECZNIKÓWNE

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Po odjeździe Miecznikowej kilkunastu ludzi jej dworu, pozostałych pod dowództwem prostego hajduka Hołoby, zabawiali się przy dzbanach i porzinali swobodnie na murach. Nakazał im być Janasz pilno strzedz wewnętrznego zamku i dwóch w drzwiach umieścić się na progu, lecz reszta używała wczasu i zawodziła tęskne pieśni. Nudno im było w tym obcym kraju; wśród ludzi nieskorych do towarzystwa, młeczających i niedowierzających, radziby byli powracać co rychlej. Kraj piękny nie podobał się im wcale, wzdychali za równinami i pagórkami śmiejącymi się a ludnemi około Mierzejowic.

Na wspomnieniach o domu czas upływał. Hołoba, rozsądny i stateczny człek, od młodego we dworze wychowany, chwilowo czując się starszym i odpowiedzialnym, chodził po podwórzu z pistoletem za pasem.

Rozmowy rozlegały się po murach, gdy z górnej baszty, Waśko zawołał podnosząc rękę.

— Hej! hej! co koń wyskoczy, ktoś leci na zamek, co to jest! Koń Dorszaka! To Dorszak, ale sam! Poskoczyli niektórzy na mur patrzeć, inni ku wrotom.

Popędził i Hołoba. Spojrzali i zawołał:

— Na miejsca! Każdy na swoje!

Sam ku bramie pobiegł.

A tu już na moście tentent się rozległ i w pierwszym dziedzińcu krzyk. Hołoba skoczył z kąda go głoś dolatywał i nadszedł, gdy Dorszak okrwawiony, w odzieniu poszarpanem z konia się staczał. Parobcy jego nadbiegli także, Dorszak pomazany krwią, opylony, z niezmiernem wzruszeniem krzyczał:

— Tatarzy! Tatarzy!

Hołoba stał przed nim drżący.

— Pani nasza! gdzie pani!

— Albo zabita, lub w niewoli, zaryczał Dorszak udając przerażenie i rozpacz i łamiąc ręce.

— A wy! wyszłście cało! odezwał się z gniewem Hołoba. A jakże to może być!

Spojrzał nań ponuro Dorszak...

— Milczec; co ty mnie tu sądzić będziesz, chamie jakiś! Bronilem póki mogłem, dobrze żem z życiem uszedł.

Hołoba stał błądy i oniemiały.

Biegli i inni ludzie z górnego zameczku. Dorszak z konia się zwałiwszy jak nieprzytomny, obłąkanymi rzucając oczyma do koła, to stał, to poruszał się niewiedząc co począć.

Hołobie, który załamał ręce—łzy ciekły z oczów jak groch—głowę spuścił na piersi i mruczał; pani, panienka! Trzeba im było jeździć.... o! nieszczęście, Janaszek! i ten.... Jak się tu teraz pokazać przed panem! O Boże, co tu począć.

Dorszak kazał sobie przynieść wody i wódki i nie wehodząc do domu, napił się w dziedzińcu. Twarz jego zamazana krwią i pyłem, wyglądała nie lepiej od tatarskiej — jakaś niecierpliwość i niepokój go opanowywały. Chodził jakby niepewien co poczynić, naradzając się sam z sobą....

Parobcy niemi patrzali nań, w ganku Horpyńka przestraszona i Tatiana z rękami w tył założonemi. Chwila upłynęła, Hołoba nieco do siebie przychodzić zaczął.

— Ale jakże się to stało?—odezwał się.

Dorszak, gdyby rażony, odwrócił się wściekły.

— Kroć sto, co tobie mnie pytać? jak ty śmiesz! Ja tu pan, ja tu teraz pan.

Hajduk podniósł głowę, nie odpowiedział nic i cofnął się. Skinął na swoich, którzy stali osłupieli—i pociągnął ich z sobą na górny zamek.

Dorszak oczyma poszedł za niemi.

Ważyl jeszcze co poczynić — aż ręką machnął i szybkim krokiem udał się na górny zamek.

W bramie stał Hołoba z ludźmi, rusznica w ręku, pałasz u boku. Dorszak postrzegłszy go, mruknął.

— Ja tu teraz odpowiadam za wszystko, i wy i co jest należycie do mnie. Tu ja rozkazuję.

Hajduk dał mu mówić, patrzył nań z podełbą.

— Paneczku—rzekł drwiąco—mnie tu postawili na straży, i póki ja żyję, ani wasza, ani niczyja noga tu nie stąpi.

Podniósł rusznicę do pół.

Dorszakowi zatrząsły się ręce, odstąpił krok.

— Coście wy poszaleli? zaryczał, pani zabita, z tamtych niewiem czy noga ujdzie. Ja odpowiadam za wszystko przed Miecznikiem.

— Pewnie, najprzód za życie jejmości i jedynego pańskiego dziecięcia—przerwał oburzony Hołoba—siebie toście uratowali przecie. Zmierzyli się oczyma, lecz Hołoba się nie zląkł wcale.

— Ja was wszystkich tu, zwoławszy ludzi z miasteczka, powiązać każę i do lochu wrzucę.

— A no! abo my co lepszego od pani!—wrzasnął hajduk — paniąście wydali Tatarom, możecie i nas im sprzedać.

Słowa te natchnęło Hołobie znać to co na miasteczku słyszeć mógł między ludźmi.

Z niewypowiedzianą złością rzucił się ku niemu Dorszak, ale zmiarkowawszy, że za słabym jest, odstąpił. Krzyknął na parobka. Ten ukazał się z za muru.

— Na miasteczko! ludzi zwołać na zamek!

— Dzieci, krzyknął Hołoba do swoich, rusznice sposobić! do bramy! do mnie!

Ruszyli się wszyscy. Podstarości, któremu się zdawało, że zastraszy, począł chodzić przed wrotami cały w pasy, pięści podnosząc.

Mileczenie trwało kilka minut; zbliżył się do hajduka łagodniejąc.

— Nieszczęście się stało—zawołał jęczącym głosem—cóżem ja temu winien! Któż tu mógł przewidywać szajkę Szajtana. Nie bądźcież bezrozumni,

trzeba to ocalić co zostało. Puście mnie, pozamykać muszę i spisać.

— Pozamykano—rzekł hajduk krótko.

— Ale cóż wy, poszaleliście czy co? jutro lub pojutrze głodem was wezmę.

— A no! jak się uda—odparł Hołoba—ja i jutra czekać może nie będę: wozy spakuję i pojedę z niemi, do domu.

— Ja nie puszcze! ja przed panem za to stoję! krzyczał Dorszak.

— Albo ja, bom ci tak dobry przed panem jak i wy, wtrącił Hołoba.

— A to! piekło z tą hołotą, zaśmiał się dziko tupiąc nogami i zgrzytając zębami Dorszak.

Hołoba tym czasem wrota i furty założyć kazał dragami i znikł. Podstarości pochodził jeszcze, rwąc się za włosy i skoczył do domu. W ganku stała jak wprzód Tatiana.

Dlaczego mu tak pilno było dostać się na górny zamek, to się tem chyba tłumaczyć może, iż się skarbu domyślał i co prędzej go w ręce swe chciał pochwycić. Pomiarkował jednak, wysławszy na miasteczko zwoływać gromadę, że zbyt ni rozgłos natychmiast po wypadku nie był dobrym. Kazał Harpynie odwołać nazad posłanych, aby wracali.

Sam z wolna wstąpił na ganek.

Kobieta patrzyła nań długo i jakby szydersko. Zmęczony był i zdawał się pijanym.

— Cóż z panią i panienką? — spytała pocichu — i z temi ludźmi i z tym młodym?

Ruszył ramionami.

— Nu — napadli, musieli zabić jeśli się bronili, a nie to w jasyrze.

Tatiana patrzyła mu w oczy, tak że jej natrętnego wzroku znieść nie mogł.

— No—może teraz jejmość wypuścić!—szepnęła.

— Jeszcze nie czas—niechaj siedzi ta jędza, nie się jej nie stanie. Wskazał ręką ku górnemu zamkowi.

— Mnie tam trzeba! ludzie poszaleli, puszczać nie chcą. Idź ty do nich, powiedz im, że ich zły los spotkać może. Ty się z niemi rozmówisz lepiej.

Tatiana pokręciła głową—krótko go zbyła słowem: nie chcę!

I powróciła do domu uchylając się od dalszej rozmowy. Na przymurku od wschodów stała filaszka z wódką, Dorszak się napił, namyslał się widocznie co robić. W chwili upojenia jakiegoś osnuł tę zdradę, teraz mimo hartownego sumienia, pomimo że, mu się zdrada powiodła, czuł ten niepokój bezprzyczynny, który zawsze opanowywa po dopełnionej zbrodni.

Tłumaczył się przed sobą i gniewał na siebie, strach go ogarniał niewysłowiony, choć niespowodowany niczem. Każdy szelest go przerażał. Uczynił co chciał i radby był odwołać co zrobił.

Rozrachowywał czy się to w jakimkolwiek sposób wydać nie może. Dalej nie wiedział co począć.

Chodząc mówił sam w sobie:

— A cóż! uparty się baby jechać! co ja winien, odradzałem! Stł na jednego? miałem się dla nich dać zarabować. Coby to było pomogło? Tatarzy wszystkich do nogi wybić musieli pewnie, bo się nie poddał ani ten butny młokos ani żaden. Nie wyjdą przecież świadczyć z pod ziemi! A gdyby, toć przecie, ja o niczem nie wiem. Co ja tu winien? Opiszę Miecznikowi wszystko jak się stało. W wigilią objeżdżaliśmy—nie było nic. Po co im było tu leżeć, po co—w gardło wilkowi! Otóż mają za to.

Ja też mogę powiedzieć, że ranny—krew widzieli wszyscy....

Przechadzał się tak rozprawiając, to stawał niekiedy, to wódę pił, to wódkę i dzał jak w febrze.

Wieczór nadchodzić zaczynał, na drugim dziedzińcu zatarasowali się ludzie, postawili straż i słysząc było jakby już znosili i zrzucali rzeczy a zabierali się do drogi.

Dorszak stał i słuchał. — Żeby ja im dał skarby wywieźć ztąd! Niedoczekanie! To nie może być... Nie zechcą po dobrej woli, muszę gromadę gorzałką spoić i kazać ich powiązać. Bronię się długo nie mogą... nie...

Zbiegł ze wschodków i bez myśli kołując tak, gnany niepokojem, zszedł aż do mostku. Chciał widać do miasteczka sam iść, aby ze starszyzną pomówić. Gesty mrok padał, noc się zbliżała. Wahał się: iść czy odłożyć na jutro.

W tem bystre ucho jego pochwyciło jakby tentent koni w dolinie. Stał... Wieczór był cichy,

milezenie grobowe, po spadłej rosie wieczornej głos się rozchodził zdala. Dorszak pojąć nie mógł co tentniało. Stado z paszy idące inaczej bieży. Rozznawał konie kute i regularny powolny chód ich ciężki. Zdało mu się, że słyszy szezęk broni. Oczy otworzył chcąc coś ujrzeć w dali, lecz mrok na do-
linie pochłaniał wszystko.

Jak błyskawicą przeszła mu po głowie myśl, że się ocalić mogli, ale się z niej rozsmiał jak z dzieciniego strachu.

Tymczasem tetent się coraz przybliżał, słysząc było skrzypienie wózka, a nawet donośny głos rozprawiającego niezmordowanego Dulebą. Włosy najeżyły mu się na głowie; drzeć zaczął.

— Duchy? nie wierzył w duchy. Strach coraz większy go ogarniał; tetent się już przybliżał do mostu. Nie licząc nic, nie wiedząc nawet dobrze co robi, Dorszak spuścił się w parów, na którym stał most, z takim pośpiechem, że gdyby za gałęzie krzaków nie chwycił, potoczyłby się był na dno. Wkrótce potem na most wjeżdżał Duleba i na pół omdlały Janasz i wózek, z którego Miecznikowa z córką wysiadły. Wszystko to ciągnęło w milezeniu żałobnym, ludzie tylko szepotali pomiędzy sobą, a Duleba głośno coś rozprawiał o Ałsan-Ghiraju.

Dorszak poznał go po mowie. Nie mógł dojrzeć, kto jechał, kto ocalał, kto zginął, lecz jasne suknie kobiet dwóch mignęły mu przez szczeliny mostu i dłonią uderzył się po czole. Zdało mu się, że widma wracają z drugiego świata. Duleba przytomność tłumaczyła cud. Zgrzytnął zębami... Nadrabiać zuchwalstwem i pokazać się na zamku, czy uciekać? Nie ruszając się ze swej kryjówki, myślał tylko o tem.

Na zamku o powrocie jego powiedzieć musiano. Jak się tłumaczyć? Uchodzić? Wahał się, a pot zimny spływał mu po skroni. Słyszał jak zdala na zamku okrzyki się słyszeć dawały i wrzawa, jak ludzie witali ocalonych. Położenie jego na zamku przy Dulebie stawało się niebezpiecznym. Miecznikowa mogła mu go oddać pod straż, a byli z sobą oddawna na noże.

Westchnął. — Nie — uciekać trzeba... uciekać... Jak?...

Parobków swoich był prawie pewny... Wysunął się po cichu na brzeg, drapiąc rękami i nogami, podsłuchiwał... Cała wrzawa i tłum wszystek i ciekawi nawet parobcy i dworzanie cisnęli się na zamek górny. Noc już była ciemna. Z bijącym sercem przekradł się niepostrzeżony do pierwszej bramy, pod której sklepieniami i we dwie postrzedz było trudno, co się w kątach kryło. Ztąd mógł wygodnie zajrzeć na podwórze: stało puste. Przemknął się biegiem po pod szopami, kryjąc się do murowanej budowy, wbiegł na wschodki, wszędzie było pusto. W izbach mieszkalnych i po ciemku mógł znaleźć, co chciał. Dopadł szafy, którą otworzył, dobył z niej skórzany trzos, którym się opasał, zarzucił burkę na ramiona, posłuchał i nazad puścił się wschodami. Szczęściem nie spotkał nikogo. Wyjrzał z ganku, podwórze stało puste i ciemne, z przeciwnej strony dochodził gwar i wrzawa ludzi Miecznikowej. Jednym skokiem stanął na dole, a do szop, w których były konie, miał dwa kroki. Gdy raz tu się dostanie, nikt go nie dojrzy będzie bezpieczny. Co żyło zajęte było Miecznikową, cisnęło się na zamek górny. Dorszak miał czas konia znaleźć, kulbakę z kółka zdjąć i drżącymi rękami rzucić ją na grzbięt najlepszego ze swoich wierzchowców. Uzda i popregi nie wzięły wiele czasu. Konia wyprowadził pocichu, i korzystając z ciemności wywiódł go powoli przez most, wybierając tak miejsca znane sobie, aby jak najmniej tetniało. Zaledwie minął most, rzucił się na siodło, cugle zebrał, nahażką ściągając konia co siły i popędził w czarną noc, nie pytając o drogę.

Zatetniało chwilę i.... ucichło.... Na górnym zamku jak w ulu szumiało. Wszyscy byli na nogach, około rannych. Miecznikowa zaledwie przysiadłszy wstawiała, rozporządzając co czynić należało. Jadzia ani pomyślała o spoczynku. Nie było naówczas zwyczajniejszej rzeczy nad rany; w powszednim życiu niemal codziennie rębali się przyjaciele i wrogowie. Strzelali przy lada wasni. — Nie było też domu szlacheckiego i rycerskiego, gdzieby kobiety około ran chodzić nie umiały, a i mężczyźni bez pla-

stra, bez kawałka płótna nie ruszali się o krok z domu. Nikita był na pół felcerem, ksiądz Żudra pół doktorem. Miecznikowa jeszcze za ojca czasów wprawiała się w opatrywanie skaleczonych. Janasza więc opatrzone natychmiast, inni sami o sobie pamiętali. W sklepionej izbie pod basztą tymczasowo złożono zabitego.

Janasz miał ran wiele od strzał tatarskich, trzy tylko głębsze i niebezpieczniejsze.... Nie zdawało się jednak, by strzały być mogły jakim zaprawne. Krwi utracił dużo, gorączka się już objawiała, więcej może ze wzruszenia niż od postrzałów. Jadzia chciała być przy nim nieodstępna.

— On za nas życie stawiał! wołała z zapalem — jesteśmy winne, że nas wprzód Tatarowie nie porwali nim odsiecz nadeszła, niegodzi się, byśmy mu nie odpłacili staraniem za krew przelaną.

Miecznikowa się nie sprzeciwiała wcale. Sama też ciągle zaglądała do chorego.

Duleba z księdzem Żudrą poszli się rozpatrzywszy posilić i siedli w izbie księdza na gawędkę, której pułkownik tem radniejszym był, że jej u siebie w obozie nie miał tak dobornej, a nowy człowiek lepiej zawsze słucha.

Znalazła się flaszczyka wina, chleb, wędlina i arbuz podolski.

Wiedzieli już że Dorszak uciekł i był na zamku.

— Ciekawym go też widzieć! — rzekł Duleba — posłaćby po tego patra, a zajrzeć mu w oczy.

Wyprawił ksiądz zaraz, lecz sługa obiezał zamek dolny, izby mieszkalne, szopy, hukał, pytał i nigdzie ani śladu nie znalazł. Dorszak już się był cichaczem wyprowadził.

Gdy dano znać, że go nie mogą odpytać, Duleba się rozsmiał.

— Byłem tego pewnym — rzekł — drapnął nie czekając reszty porachunków.

Albo te lepiej albo gorzej — dodał. To pewna, że jeśli Dorszak uszedł, o czem się przekonać łatwo, spokoju mieć nie będziemy.

— A cóż może być? — spytał ksiądz Żudra.

— Co? napaść mogą Tatarowie na zamek, jak nie.

— Ale, gdzież zaś!

— Kobiet straszyć nie trzeba, ale to tak pewna jak dwa a dwa cztery.

Dorszak do nich drapnął i naprowadzi ich. Zna wszystkie słabe strony, przejścia, siłę, amunicję. Będzie wiedział nawet o jakiej godzinie to zrobić, i dobierze właściwą.

Ksiądz załamał ręce i głowę spuścił.

— Wielu macie ludzi? — zapytał pułkownik.

— Jest nas z rannymi i niedołęgami jak ja — około dwudziestu.

— A broni?

— Dosyć na dwudziestu.

— Amunicji?

— No — niewiem dokładnie — zawołał ksiądz Żudra, gdyby Janaszek pozdrowiał nieco, wiedzielibyśmy najlepiej i co robić i co jest.

— On rychło odejdzie — zdrowa krew, wtrącił pocieszając Dulebą. — Tatarskie strzały jeśli nie zabiją, to po nich rany tyle tylko, że nudne. Dorszak ani dziś ani jutro nie może ich tu sprowadzić. No — jutro!....

— Lecz mógłby? czyż godzi się go o to posadzać?

Duleba się śmiał rozparłszy w krzesło.

— Księżuniu — zawołał — jesteś niewinny jak dziecko. Toć lotr, to zbój, dla którego nie świętego niema. Gdy na Orchowie najechały Tatary, widzieli go ludzie między niemi uganiającego się z nahażką w tatarskim stroju i prowadzącego orde.

Adziś-że, mój ojcze, czyby umykał, gdyby na złodzieju czapka nie gorzała?

— To co innego — począł ksiądz Żudra — to co innego, że strachu mógł umknąć, aby posadzonym nie być.

— Już kiedy kto dom opuszcza — dodał Duleba — chyłkiem, nocą, w takich ewentach, nie wiem czem to pachnie.

Zafrasował się ksiądz Żudra, tak że stanawszy zamysłony, nie wiedział co począć.

— Pułkowniku! na miłość Bożą, ty nas nie opuszczaj! krzyknął, za ręce go chwytając.

Duleba wása kręcił.

— Co ja wam tu jeden pomogę?

— Poślemy po waszych?

— Ale ja mam ordynanse, na miłego Boga — ozwał

się pułkownik, ja około zamku obozem, ani w zamku siedzieć nie mogę. Moja rzecz krążyć po nad granicą, a mam dosyć do czynienia z tem tałajstwem.

Zaniepokojony do najwyższego stopnia ksiądz — niewiedząc co począć, wylekły dzisiejszymi wypadkami, pomyślał, że w niedostatku Janasza, który majaczył trochę pod noc i z którym naradzić się nie było sposobu, należało choć Nikitę sprowadzić do rady. Po Korczaku był to najzdolniejszy z ludzi, a choć ranny, nie stękał na kalectwo i krzątał się jak zdrowi.

Wybiegł więc sam wołać Nikity. Dworak stanął natychmiast. Zawiazaną miał, prawdę, głowę, obandażowaną rękę, na jedną nogę trochę kulał, bo mu ją konie ścisnęły aż zsiniała — ale na twarzy śmiało się mu zwycięstwo i przygoda, której teraz, gdy się szczęśliwie skończyła, niemal był rad. Napił się już parę razy wódki, zjadł chleba ze słoniną i uczuł się pokrzepionym.

— Nikita — zawołał ksiądz widząc go ukazującego się w progu — na tobie teraz wszystko! Ja w tem, że ci pan da swobodę i grunt.... ale.

Nikita ramionami ruszył, rozsmiał się głośno i nie dał dokończyć.

— Al! dobrodzieju! co tam o tem mówić, mówcie co pilniejsze....

— Dorszak zdrajca umknął z zamku — kończył Żudra. Pułkownik ręczy, że na zamek Tatarów emę naprowadzi.

— A pewnie! — zawołał Nikita.

— Nie wiemy ani dnia ani godziny, trzeba się do obrony sposobieć.

— Ja jutro co świt do moich pojade, wtrącił Duleba — i przysięgam wam na załogę z dziesięciu.

— No, to i dobrze — zasmiał się Nikita — obrońmy się tej szarańczy, choćby ich było i....

— A no, powoli — oto! — rzekł podnosząc się Duleba — powoli, a nie tak butno. Dorszak lepiej od was zna wszystkie dziury tego sowiego gniazda. Obrońmy się albo nie.

Nikita się zamyslił, oczy wlepiwszy w podłogę.

— Jak on ich na dolny zamek przyprowadzi — rzekł Duleba — toście zginęli, a dolnego zamku bronić — ani myśleć.

Ta! syknął Nikita namysławiając się — albo, albo. My sobie chodząc po zamkach pozawczoraj z panem Janaszem baraszkowali i żartowali, jakby tu przyszło bronić się od nieprzyjaciela. Nasz Janaszek to głowa generalska, on na hetmana stworzony, dodał Nikita — a wiecie co mówię?

— Tom ciekaw! uśmiechnął się Duleba, cóż ta generalska głowa tak mądrego znalazła?

— Bardzo prosta rzecz, panie pułkowniku. Spalimy most.... na dolny zamek nie dostaną się.

Pułkownik stał zdziwiony.

— Al jak mi Bóg miły, rozumnie. Tylko wprzód mnie dajcie się ztąd wydobyć. Dziś na noc posłać dwóch ludzi, niech pale u dołu poobwiązują słomą i dziegiem osmarują, w godzinę mostu nie będzie.

— My tu z głodu poginiemy! — zawołał ksiądz.

— Trzeba z miasteczka nocą ściągnąć nie prosząc, co się znajdzie — dodał Duleba. — Na to, mości Nikita masz całą noc i kawał dnia jutrzejszego. Ja pod wieczór przysięgam wam załogę, więc z paleniem mostu się nie śpieszcie, ale tak, aby nikt nie wiedział, przygotować wszystko. Na górny zamek się nie dobiorą, chyba jaka wycieczka była tajemnymi lochami, któremi by Dorszak mógł ich wprowadzić.

Ksiądz Żudra załamał ręce....

(Dalszy ciąg nastąpi).

KORESPONDENCYA Z ZAGRANICY.

Akademia umiejętności. — Wydawnictwa nasze. — Towarzystwo wzajemnych ubezpieczeń. — Bankructwa i oszustwa. — Proces Wyrobka. — Towarzystwo tatrzańskie. — „Pan Alfons“ Dumasa Konkurs dramatyczny.

Kraków w lipcu 1874 r. (Spóźnione).

Czytelniczki „Bluszczu“ mało jeszcze miały sposobności obznajmić się z działalnością i rozwojem

najwyższej w Galicyi instytucji naukowej, jaka jest założona w roku zeszłym i otwarta przez arcyksięcia Karola Ludwika akademii nauk w Krakowie. Sądę, że kilka słów w tym przedmiocie, jak najtreściwiej napisanych, odczytane będzie—bez ziewania.

Instytucja licząc zaledwie rok życia nie mogła wiele uczynić ani pod względem nowych badań naukowych, ani pod względem wydawnictw. Gdyby nie spuścizna, jaką otrzymała pod byłym Towarzystwem Naukowym, rok ten przeminałby niewątpliwie z jeszcze mniejszym skutkiem; to bowiem wielce ułatwiło pierwsze kroki Akademii, że znalazła już wiele rzeczy zrobionych. Towarzystwo Naukowe przygotowało jej kadry; były prace rozpoczęte, ludzie w celu naukowym zgromadzeni, stosunki pozawierane z wieloma instytucjami naukowymi—dziedzictwo bardzo pożyteczne, wiadomo bowiem jak są trudne wszelkie początki, mianowicie zaś jak nie łatwo zawiązywać stosunki z istniejącymi akademiami i towarzystwami naukowymi. Wchodząc z prawa Towarzystwa Naukowego Akademii korzystała z dawnych nabytków i dlatego w pierwszym zaraz roku mogła wykazać 40 różnych instytucji, z którymi pozostaje w naukowym związku. Dotychczas w naszej strony związek ten jest jeszcze biernym, albowiem było Towarzystwo Naukowe nie miało żadnych środków do prowadzenia badań, do rozjaśniania kwestyi zawiłych w nauce, a publikacye nasze nie liczne, nie przedstawiały szerszego interesu. Akademia o tyle w szczęśliwszym znajduje się położeniu, że nie ogranicza się na szczupłym kole uczonych krakowskich, ale wzmocniwszy swe siły przybraniem ludzi naukowych krajowych i zagranicznych, rozleglejsze ma pole działania. Przytem rozporządza znacznymi środkami pieniężnymi. Rada państwa przyznała dla niej dwanaście, a Sejm lwowski dziesięć tysięcy złotych reńskich rocznej subwencji. Jest to zapewne najszczuplejsze uposażenie w porównaniu z innemi instytucjami tego rodzaju, ale zawsze pozwala na prace systematyczne. Inny względ gorzej może wpływać na rozwój Akademii krakowskiej. Ludzie pióra są u nas po większej części niezamożni, a nawet największe nasze znakomitości literackie nie zdołały zrobić fortuny; stąd też nasi badacze nie mogą poświęcać się wyłącznie nauce, a szczupła liczba posad profesorskich zmusza ich nieraz do zajęć odrywających od zawodu. W takim położeniu badania naukowe nie mogą postępować rąco, a gdy wydawnictwa przez wiele lat nie przedstawiały żadnej nadziei powodzenia, znaczna część starszego pokolenia u nas, nawet i pomiędzy ludźmi zaszczytnie znanych w nauce, od dawna zarzucała pióro, a przynajmniej z żadnemi pracami na widownię publiczną nie występuje. Jest w Akademii wielu pisarzy, którzy od lat 10 i więcej nie pisali, którzy nie znają prac naukowych obcych autorów z ostatnich czasów, albo patrzą się na nie z pewnem uprzedzeniem, a ztąd ich pomoc w Akademii ogranicza się do biernej bardzo roli.

Znając podobny stan okoliczności, nie można wymagać raptownej zmiany i oczekiwać niespodziewanego rozkwitu nauk i umiejętności z powodu samego faktu założenia Akademii, lecz nie należy także, jak to niekiedy słyszeć się daje, zbyt porywczo potępiać pracę zaledwie założonej instytucji. Położenie swe wyjątkowe zna sama Akademia, zmuszona do walczenia z niesłychanymi trudnościami i dlatego przyjęła za zasadę wprowadzać do komisji przez siebie tworzonej ludzi z poza akademii, jeżeli tylko w czemkolwiek mogą być pomocnymi. Nie jest to, zaiste, winą instytucji, jeżeli są nauki, którym poświęca się zaledwie dwóch lub trzech ludzi w kraju, a i ci niekiedy nie cały swój czas obracają na cele naukowe. Gdzież u nas pisma specjalne? tacy, co by je czytywać pragnęli? tacy, co by chociaż trochę do badań przyczyniać się mieli ochotę i jaką taką sposobność? A przecież w akademii zdołano utworzyć tyle specjalnych komisji, jak: komisję do ułożenia słownika polskiego, komisję bibliograficzną, komisję do badania dzieł sztuki w kraju; komisję archeologiczną, historyczną, filozoficzną, fizyograficzną i antropologiczną. Rezultatem rozlicznych zajęć w komisjach, jest wydanie kilku i zapowiedzenie większej jeszcze liczby tomów zbiorowych rozpraw treści naukowej, oraz oznajmienie wydawnictw dzieł po większej części z dzie-

dziny historii, bibliografii i archeologii. Trzeba przytem pamiętać, że wszyscy członkowie Akademii zagraniczni dotychczas nie byli zatwierdzeni, obecnie zaś część ich tylko przyjmie udział w pracy, dla braku zezwolenia cesarskiego. Potwierdzenie dotychczas uzyskali: na wydziale filozoficzno-literackim Stanisław Koźmian, J. I. Kraszewski, ks. Malinowski, Aleksander Chodźko, Dr August Essenwein (autor znakomitego dzieła o Krakowie ze stanowiska sztuki), Władysław Nehring, Włodzimierz Spasowicz; na wydziale historyczno-filozoficznym: August Cieszkowski, Teodor Morawski, Ryszard Roepell, ks. Augustyn Theiner, Ludwik Wołowski, Karol Hoffman, Wojciech Kętrzyński, Emanuel Noailles i Bronisław Zalewski; na wydziale matematyczno-przyrodniczym: Ignacy Domejko, Edward Strassburger i Józef Tetmajer. Z tych jedni są stałymi członkami, inni korespondentami.

Z prac wydanych przez akademię w bieżącym roku wspomnę o kilku, nie mogąc ich wyliczać wszystkich. W dziedzinie archeologii napisał J. N. Sadowski rozprawę: „Pogląd na zabytki spżiwie”. P. Kirkor poczynił badania w Kwaczale i zdał z nich sprawę. W dziale historii przedsięwzięto zbieranie materiałów po bibliotekach i archiwach krajowych i zagranicznych, mając przystęp nawet do tajnego archiwum wiedeńskiego, to też już trzeci tom: *Monumenta Poloniae historica* opuścić ma wkrótce prasę; wyjdzie także niebawem „Kodeks dyplomatyczny kapituły krakowskiej” i „Kodeks klasztoru Jędrzejowskiego”, a materiały liczne szczególnie do epoki XVI wieku, nagromadzone z różnych źródeł, po ich uzupełnieniu, ukazać się także na widok publiczny. Kronika Wapowskiego, statut Taszyckiego już wyszły, a na rok 1883, jako na dwuchsetletnią rocznicę oswobodzenia Wiednia, przygotowuje się wielkie wydawnictwo aktów dotyczących panowania Jana III. Oprócz tego z dziedziny prawa wydano rozprawę profesora Bojarskiego: „O znaczeniu prawa rzymskiego w prawie karne polskim”. Ogłoszono też w Pamiętnikach różne treści rozprawy Sujskiego, Tarnowskiego, Kętrzyńskiego, Rozsiekiewicza, Skiby, Janczewskiego i wielu innych. W ogóle wiele rzeczy było bardzo zaniedbanych; ale teraz już z tego co w tych kilku słowach przytoczyłem, można powziąć wyobrażenie o rozpoczętej sumiennej pracy, na każdym polu wiedzy. Zbiorowym więc naukowym usiłowaniu niech tylko i inni, po za akademią stojący uczeni przyjdą z pomocą, a poczet wydawnictw obudzi literaturę i umysł. Nie odrazu Kraków zbudowano, to też i zwolna tylko Akademia może oddziaływać na społeczeństwo i wzajemnego odeń doczekać się poparcia i ożywienia.

Z wydawnictw naszych po za Akademią, podobno najlepiej powodzi się „Bibliotece umiejętności przyrodniczych”, która zajmuje się przepolszczaniem dzieł naukowych, z dziedziny przyrodoznawstwa. Liczy ona, jak utrzymują, ogromny kontyngent prenumeratorów w samej Galicyi. Główną jej cechą jest kierunek pozytywny i to nawet z odzieniem materialistycznym, podobno jednak dzieła przyswajane naszej literaturze, mają pod względem naukowym posiadać prawdziwą wartość, o czem nie będąc specjalistą, sądzić nie mogę. Pojawiła się również „Biblioteka krakowska”, która dopiero zaczyna wychodzić i niema, jak tytuł pokazuje, żadnej specjalnej gałęzi wiedzy na urwadze, a nawet nie można wiedzieć, czy będzie miała za zadanie same tłumaczenia, czyli też nie omieszkła drukować także oryginalnych polskich utworów. Pierwszy jej zeszyt obejmuje początek filozoficznego dzieła Maksa Müllera, „O znajomości języka”. Tłumaczenie Odyssei już opuściło prasę. Tłumacz „Królodworskiego rękopisu” oddał prawdziwą przysługę, przyswajając nam to dzieło mistrza greckiego tak piękną polszczyzną i z taką siłą języka. Zwrot do starożytności, obok pozytywnej wiedzy, powinien posłużyć do wyrobienia głębokości poglądów i zasłonić od marzycielstwa w nauce, klęski dość u nas powszechnej, a czyniącej nasze prace naukowe mało przydatnymi do postępu ogólnego. Rzekniewicie, nie nie szkodzi tyle wzrostowi wiedzy, jak nie ugruntowane, na faktach nie oparte filozofowanie: pozornie pięknie wyglądający pogląd długo następnie przechodzi z książki do książki, zanim go usunąć zdołają. U nas zaś panuje wielka łatwość tworzenia abstrakcyjnych teorii, co dowo-

dzi jedynie istotnych zdolności, przy małej pracy; to też kierunek pozytywny, o ile pod nim ścisłość metody badania rozumieć należy i tylko o tyle, powinien wpłynąć korzystnie na rozwój naszej literatury.

W nocy z dni 15 na 16 lipca zgorzało miasteczko Ustrzyki w okolicach Sanoka. Pożary nietylko w Królestwie lecz i u nas wydarzają się coraz częściej. Towarzystwo ubezpieczeń funkcyonujące w Krakowie mocno na klęskę o gniową utyskuje—i ma do tego słuszny powód. Wprawdzie ubiegły rok ekonomiczny przyniósł 54,000 złr. czystego dochodu, — ale zysk taki przyszłość łatwo wydrzeć może, o straty jeszcze przyprowadzając. Pożary niszczą w Galicyi naraz po kilkanaście i kilkadziesiąt domów, a często bardzo powstają z podpalenia. Ten rodzaj zemsty tak upowszechnił się pomiędzy ludem, iż musiano wydać ustawę, żeby każdy wójt we wsi był ubezpieczony. W ostatnich latach plaga ta jeszcze bardziej wzrosła, do czego przyczyniła się w znacznej części niemożność dowiedzenia winy z powodu ścieśniających sędziego przepisów prawnych o dowodach. Z zaprowadzeniem sądów przysięgłych, co już nastąpiło—jest nadzieja, że podpalacze znajdować będą zawsze zasłużoną karę, a tem samem i liczba pożarów się zmniejszy. W ogóle stan moralności w wielce niekorzystnem u nas przedstawia się światło. Statystyka karna z roku na rok wykazuje wzrost ilości przestępstw, oraz mnożenie się zbrodni cięższych, mianowicie przeciw osobom. Przyczyn złego jest bardzo wiele i nie należy ich upatrywać jedynie w niedostatecznej organizacji sądownictwa i policji miejscowej, gdyż moralność publiczna nie może zależeć od kary i nadzoru. Sąd i policja przez opiekę daną prawnym stosunkom, powściągają złe istniejące, ale nie czynią jeszcze społeczeństwa moralnem. Głównym powodem mnożących się zbrodni, zawsze i wszędzie bywa pewna anormalność stosunków socyalnych, a ta właśnie u nas posunięta jest do najwyższego stopnia. Z chwilą zniesienia poddaństwa nie przedsięwzięto żadnych środków ku zabezpieczeniu dobrobytu ludu. Wielka liczba włóścian bez ziemi, niezadowolona ze swego stanu, czując się pokrzywdzoną w obec włóścian właścicieli uprzywilejowanych, chętnie słucha podszeptów złych doradców. Przy niskim zaś rozwoju przemysłu, a ztąd trudności zarobkowania, przy częstych klęskach żywiołów, sprowadzających głód, w wielu okolicach, ta klasa ludności stanowi czynnik gotowy do nadużyć wszelkiego rodzaju. Brak kredytu, brak zajęcia się kwestyą dobrobytu ludu, oddaje nawet zamożnych gospodarzy wiejskich w ręce lichwiarzy, którzy ich do nędzy doprowadzają; a to wszystko razem wzięte, wytwarza dopiero stan stosunków społecznych, dający możność ocenienia przyczyn upadku moralnego i zbrodni z prawej drogi postępowania.

Zasługą to jest właśnie krakowskiego towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń, że zrozumiało własny i kraju interes w przeciwdziałaniu lichwie i przyczyniło się ze swej strony do założenia wielu pożytecznych instytucji, jak kas oszczędności, towarzystw zaliczkowych, ułatwiających kredyt tani i wytwarzających oszczędność na czasy ciężkie, głodowe. Wprawdzie nie znać jeszcze skutków dobroczynnych, tak że zawsze jeszcze przednówek trudnym bywa do przebycia dla naszego wieśniaka, a zeszłoroczna cholera głównie srożyła się w epoce dojrzewania zboża w polu. Jeszcze też niema ani dostatecznej ilości kas na kraj cały, ani współdziałanie włóścian nie stało się powszechnem. Pod tym względem wszakże rozwija się u nas wszechstronna działalność, a z początkiem bieżącego roku znajdowało się w Galicyi 678 gminnych kas pożyczkowych, z kapitałem stanowiącym udział członków i wynoszącym blisko pół miliona złotych reńskich, prócz tego 40 funduszy pożyczkowych dla przemysłowców z kapitałem 140,000 złotych reńskich; 9 kas pożyczkowych powiatowych z kapitałem 125,000 złr. oraz 10 kas oszczędności obracających przeszło dziesięć milionami kapitałów wkładowych. Objawy te są pocieszającymi, ale nędky same przez się nie wytępią, tem mniej, że oszczędność jest u nas rzadkim jeszcze przymiotem.

Rozumie się, że Towarzystwu ubezpieczeń nie zawdzięcza kraj tych wszystkich instytucji, zasługą jego jest jedynie inicjatywa, połączenie roztropne interesów dobrobytu ludu z własnym pożytkiem.

Podniesienie zaś tej zasługi wydaje mi się potrzebnem, w obec ogromnej agitacji, jaką tu rozwinęła prywata przeciw temu Towarzystwu, usiłując podkopać jego kredyt. Powodem łatwym wreszcie do zrozumienia była chęć przysporzenia asekurantów innemu akcyjnemu Towarzystwu ubezpieczeń, a jak łatwo było przewidzieć, manewr się nie udał. Dawniej kiedyś pisałem o antagonizmie dwóch naszych wielkich miast; dochodzi on czasami do zboczy potwornych, jakimi właśnie była nacechowana agitacja. Dziś rzeczy zupełnie wyjaśniły się, a daj Boże, aby współzawodnictwo nadal szukało sobie zawsze dróg uczciwych.

Z drugiej strony łatwo zrozumieć dlaczego publiczność jest dziś skłonna do wierzenia faktom nawet nieprawdopodobnym. Znaczna bardzo część zamożnych obywateli popadła była w szalony wir gry giełdowej, albo też lokowała swe kapitały w papierach wiedeńskich. Z nadejściem przesilenia ruwały znaczne nawet fortuny i pocieszano się tą myślą jedynie, że polskie gospodarstwo okazało się rozumniejszem w danym razie od niemieckiego. Upadek Tellusa, który tak ciężką był klęską dla księstwa Poznańskiego, znacznie osłabił zaufanie do własnych instytucji, a jakkolwiek w Galicyi żaden z zakładów kredytowych nie upadł, ani nie wykliwował deficytu, to przecież powtarzające się dość częste kradzieże, spełniane przez wyższych nawet urzędników bankowych, rzuciły postrach niesłychany i łatwy do wytłumaczenia. Brak ufności jest koniecznem następstwem i najfatalniejszym skutkiem wszelkich przesilen giełdowych.

Przed laty czterema zbankrutował tu bankier Kirchmayer, którego firma długi czas używała powszechnego poważania. Im większą była ufność, tem znaczniejsze musiały być straty i tem większe rozczarowanie, gdy przekonano się o naruszeniu depozytów. Likwidację długów powierzono wówczas młodemu ale zdolnemu adwokatowi Wyrobkowi, który był już sobie zjednał poważanie w swoim zawodzie. Tymczasem przez lat wiele ciągnęła się sprawa i gdy inne tego rodzaju likwidacje kończą się w kilka miesięcy, a najdłużej rok trwają, tu przez lat cztery wlokła się cała procedura, i jak widać, mało postąpiła do tej pory. Zaczęto więc podejrzewać, jakieś bezprawie, ale nie umiano sobie dokładnie objaśnić kto winien. Nagle po upływie lat tylu stawia się do sądu Wyrobek z oznajmieniem, że od lat trzech nie robił, że rachunków nie prowadził, a znaczne sumy przegrał na giełdzie. Z toku sprawy jednak, jaka tu toczyła się przed sądem przysięgłych jeszcze w maju, można było przekonać się, ile dawna opinia była pomocną oskarżonemu. Prokurator zapominał się tak dalece, że go zwał „szanownym panem oskarżonym”, przewodniczący sądu pytał go o szczegóły „nieszczęścia”, a szczegółów tych tak nie był ciekawy sędzia śledczy, że w dziejach kryminalistyki trudno napotkać równie niedołężnie i niedbałe przeprowadzonego dochodzenia sądowego. Z rozprawy sądowej dowiedzieliśmy się, że w kasie brak około 100,000 złr., o czem wreszcie i bez tego wszyscy wiedzieli, ale gdzie się takowe podziały, co się z niemi stało, tego wcale nie wyjaśniono. Ten dziwny przebieg rozprawy, ten demoralizujący wpływ publicznego uznawania zasady, że człowiek niezamożny musi nadużyć zaufania, jeśli ma sobie powierzone znaczne sumy do rozporządzenia — nie zaś łagodny wyrok, jak niektórzy sądzą, był powodem dość powszechnego zgorszenia. Również w tym czasie wykryło się kilka innych oszustw znaczniejszych. To też w jednej chwili publiczność straciła zaufanie we wszelką uczciwość i to nam tłumaczy łatwość, z jaką przyjmowano za dobrą monetę każdą alarmującą pogłoskę. Po Krakowie przez dwa tygodnie obiegaly najróżnorodniejsze bajki. Od miesiąca rzeczy zwolna wracają do równowagi w umysłach; ale jeszcze nie małego potrzeba będzie czasu zanim powróci dawna ufność do ekonomicznych przedsięwzięć. Powrót ten sprowadzić może głównie surowe potępienie nadużyć w opinii ogółu, podniesienie uczuć obywatelskich i zasad moralności; nie z innych też względów opisane powyżej szczegóły wywołały niesmak i zgorszenie. Nic więcej nie szkodzi moralności, jak potakiwanie złemu; w taki sposób nietylko psują się dzieci, ale również i całe społeczeństwa.

Towarzystwo tatrzańskie wybrało już zarząd

i ukonstytuowało się; liczy ono przeszło 200 członków. Na walnem zgromadzeniu niedawno odbytem postanowiono zbudować domek przy Morskiem Oku, tratwy i łodzie do pływania po tem jeziorze, oraz w miarę możliwości ułatwiać dostęp dla zwiedzających Tatry, dostarczając im pewnych przewodników, oraz, utrzymując straż pilnującą szałasów i t. p. ulepszenia. W celu zaś wzbudzenia większego zamiłowania do gór naszych, ma Towarzystwo urządzać zbiorowe wycieczki. Organem Towarzystwa są *Zdrojowiska*, pismo zostające pod redakcją Dra Lutostanskiego.

Mieliśmy przed feryami teatralnemi wystawionego „Pana Alfonsa” Dumasa (syna). Wszystkie dramata francuzkie kręcą się zawsze około jednej i tej samej myśli: społecznego stanowiska kobiety w wypadku, bądź to posiadającej jeszcze szlachetne uczucia, bądź też pozbawionej ich zupełnie. Temat ten na różne strony przerabiany, obecnie wstąpił w nową fazę. Otworzył ją Dumas (syn) swym utworem *L'homme-femme*, w którym nadał kobiecie zupełnie podrzędne stanowisko, uczynił ją prostą niewolnicą mężczyzny, myślącą i czującą li tylko przez niego, pozbawioną odpowiedzialności za swe postępowanie oraz wpływu wszelkiego w społecznym życiu. Dlatego też pozwala ją zabić za każdy błąd spowodowany bez winy męża. Wszystko to znajdujemy powtórzone w „Panu Alfonsie”, oprócz zabójstwa, gdyż błąd popełniony sięga czasów przedmażeńskich i zblakana okrywa tylko hańbą w końcu sztuki. Porównując treść nowego utworu Dumasa z poprzedniami, można go uważać za pewien rodzaj zwrotu ku lepszej tendencji, gdyż niema przynajmniej nigdzie apoteozy złego; ponieważ jednak autor wychodzi z fałszywej zasady, sztuka jego staje się tak cyniczna, tyle ma wstrętnych sytuacji i tak niski stopień moralności, że nie można jej uważać za wyrób moralnie zdrowego społeczeństwa. Nie od pisarzy też, co pióra swe stępił na cynizmie, oczekiwać ma Francya odrodzenia się literatury; z ich strony wystarczy jeżeli przynajmniej cynizm swój złagodzi.

Tegoroczny konkurs dramatyczny rozstrzygnął się we Lwowie. Z 40 sztuk nadesłanych tylko jedną uznano za godną nagrody i to ostatniej, a żadnej sztuki nie zalecono do grania. Jest to bardzo surowa krytyka, ale daje niewątpliwe świadectwo o ubóstwie naszych talentów dramatycznych.

ZEPCHNIĘTY W DÓŁ

(przekład z angielskiego).

(Dalszy ciąg).

Pokochaliśmy wszyscy Jakuba Marks. Im dłużej byliśmy razem, tem miłszym się nam zdawał i może stawał się miłszym. Odżywał w nim człowiek dawny, wracała mu pewna wesołość, pewne ożywienie, lubił przypominać sobie młodość i często rozmawiał o niej z panią Mateuszową, wspominając z przyjemnością drobne zdarzenia przeszłości. Choć był zawsze, co nazywają gentlemanem i chyba do ostatniej godziny życia musiała mu pozostać pewna natura pańska, po której nie znać było garbienia się nad biurkiem kantorowem, zdawało się że ma we wspomnieniach młodości odrobinię dumy pewnej, dumy szlacheckiego syna. Atmosfera, która go otaczała, była mu przyjemną, jak odetchnięcie powietrzem rodzinnym, to też esquire szeptał nam, że go nie puści tak prędko.

We wtorek drugiego tygodnia siedzieliśmy przy śniadaniu, gdy oddano mu list z poczty, pierwszy jaki odebrał. Powiedział nam, że żona wcale do niego pisać nie będzie, aby przez cały czas nie dotykał się wcale pióra i atramentu, to też pani Mateuszowa, przy której siedział, spojrzała mu trochę przez rękę.

— Czy z domu Jakubie? — zapytała.

— Nie — odparł — piszą mi tylko z banku, abym nie zapominał terminu.

— Jakiego terminu! — zawołał esquire, odsuwając wafle, które sobie masłem smarował — gospodyni

była dość uprzejma, aby na intencję gościa dać nam rzadki przysmak gorących wafel do herbaty.

— Terminu powrotu do biura — odrzekł pan Jakub. Zastępujący mnie kolega przypomina mi o tem.

— Kiedy to ma być? — zawołał esquire.

— Jutro na nieszczęście — odparł zapytany. — Jutro będą dwa tygodnie jak tu świętuje.

— Ani myślę cię puścić — rzekł esquire gniewnie. Dwa tygodnie, to jak biczem trzasnął. Czy ci to mogło co pomódz?

— Bardzo pomogło....

— Mówisz jak dziecko. Dwa tygodnie w takich razach nie nie znaczy.

— Dla mnie przecież zaznaczyło się ogromnie. Odżywiłście mi duszę i ciało. Odmłodniałem, wrócić do domu z umysłem i sercem podniesionem.

— Słuchaj panie Jakubie — rzekł esquire — a gdybyś też nie zważał na żaden termin, na żaden urlop i został z jaki miesiąc?...

— Przed miesiacem miałbym dymisyę.

— A gdybyś tak niedługo, gdy przyjadę po ciebie do Londynu, powiedział, żeś chory znowu i poprosił powtórnie o urlop.

— Bank wzięłby sobie zdrowego buchaltera.

— A czyby to bank nie mógł mieć jednego takiego urzędnika, któryby zastępował innych w razie potrzeby?

Marks się uśmiechał. — Taki urzędnik — rzekł — byłby powiększonym wydatkiem na budżecie, a głównym zadaniem tych, którzy go układają, jest kasowanie na oszczędność. Kasowanie na oszczędność to połowa finansowej działalności banku Brown i Spółka....

— Nie, Marksie, nie pozwolę, aby ta sprawa, tak była lekko puszczoną — rzekł esquire. — Co być nie może, to nie może....

Siadł zaraz po śniadaniu do pisania i wystylizował sążnisty list do panów Brown i Spółka. Wypisał w nim obszernie swoje na rzecz poglądy i prosił o przedłużenie urlopu panu Jakubowi Marks, krewnemu jego żony, którego chciał jeszcze zatrzymać u siebie przez miesiąc chociaż. Położywszy na liście najwyraźniejszy adres Crabb-Cot i Dyke-Mannor, prosił również, aby przedłużenie urlopu mogło być przysłanem Marksomu w telegramie na koszt jego wyprawionym.

Poślał natychmiast umyślnego na pocztę i odpowiedź mogła nadejść nazajutrz wcześniej. Ale nie nadeszła i Jakub Marks pojechał, aby iść wrócić a panowie Brown i Spółka — nie odpowiedzieli nigdy esquireowi Todhetley.

Dowiedzieliśmy się później, że krótkie wakacje bardzo przecież polepszyły zdrowie i wzmogły siły Jakuba Marks, ale nie nadługo. Przez całe lato, aż do samej jesieni czuł się pokrzepionym i wróciła mu dawna zdolność do pracy, która przecież znów zaczęła słabnąć pod jesień. Nie było wyraźnych śladów choroby, czuł jednak, że praca nie tak mu idzie, jakby sobie życzył.

Walczył z tem przecież w milczeniu, ale w końcu doszedł do smutnego przekonania, że mu trzeba ustąpić i mniej pracować — porzucić wieczorne zajęcia u masłarza. Chciał tylko dociągnąć do Bożego Narodzenia i zakończyć rachunki roczne. Z rocznem zamknięciem ksiąg myślał rozstać się z masłarzem. — Od Nowego Roku zaczęną wypoczywać wieczorami — powiedział sobie, nie wesoło przecież bo tracił przez to pięćdziesiąt funtów rocznie, co przy dwustu funtach pensyi bankowej, stanowiło piątą część jego dochodu.

Jak postanowił, tak zrobił. Dociągnął do końca rachunków rocznych, a w obydwóch miejscach praca była ciężka, a dla niego cięższa niekiedy. Jest u Arabów przysłowie o piórku, pod którym pada wielbłąd, bo jest miara, nad którą nie pociągnie żadna żywa istota, zwierzę czy człowiek. Tak się stało z Jakubem Marus, ostatnie piórko zgjęło go stanowczo i pochyliło ku ziemi. W końcu stycznia zachorował, dostał zapalenia płuc i przez jedenaście dni nie był w biurze, co było wypadkiem niesłychanym w rocznikach bankowych. Dwunastego dnia siadł znów przy swoim pulpicie, ale czuł się niezmiernie podupadłym na siłach.

Nikt nie wiedział do jakiego stopnia osłabł, a mówiąc wyraźniej, do jakiego stopnia czuł się niezdolnym do pracy, co zwiększało się z dniem każdym. Żona podejrzewała to nieco; wiedziała, że nie śpią po nocach, że spracowany mózg rozstraja mu nerwy

i nie pozwala wypoczynku. Słyszała jak nocami kręcił się w łóżku, czasem podnosił się i chodził po pokoju, niekiedy wstawał nie zamknawszy wcale oka.

— Bywają chwile—rzekł raz do żony z wyrazem rozpacz—w których nie mogę wcale skupić myśli. Siedzę niby przy pracy tyle godzin co dawniej, ale często trzeba mi przerabiać nazajutrz, co dziś zrobił. Parę razy wcisnęły się pomyłki i stary Brown pytał co mi się stało? Tracę dawną siłę umysłu.

Gdybyś tylko mógł spać lepiej—rzekła smutnie żona.

Tak—powtórzył z westchnieniem—gdybym tylko mógł spać lepiej! Ale zmęczyłem sobie głowę.... widma rachunków przesładują mnie nieustannie; wszędzie gdzie spojrzę, widzę liczby....

— Powinieneś, Jakubie, udać się do dobrego lekarza. Poświęć gwineę i idź do doktora. Może to oszczędzi więcej jak gwineę....

Marks usłuchał żony. Poszedł do doktora i opowiedział mu swój rodzaj życia, pracy i stan obecny.—Czy mogę być wyleczonym?—zapytał.

— Naturalnie.... spodziewam się tego — odparł doktor pocieszająco, ale sam nie miał nadziei, którą chciał wzbudzić. Złe było posunięciem tak daleko, że mogło nie ustąpić. Proces leczenia był bardzo prostym. Zmiana miejsca i najzupełniejszy odpoczynek—oto jego główne warunki.

— Przez jaki czas?—zapytał Jakub Marks.

— Przez rok—odparł lekarz.

— Przez rok!—powtórzył Jakub z przerażeniem.

— Najmniej. Przepiszę panu przytem wzmacniające lekarstwo. Potrzebujesz pan odżywienia sił i trzeba ci żyć lepiej. Nie prowadził pan dość posilającego do swej pracy życia.

Wyszedłszy na ulicę Jakub Marks mógł się śmiać głośno, śmiechem gorzkiej ironii. — Ciekawy jestem ilu też podobnych do mnie biedaków jest obecnie w Londynie, ilu ich jest w różnych miastach świata? Biedaków, którym trzeba odpoczynku, jakiego mieć nie mogą, lepszego życia, jakiego nie są w stanie prowadzić.

Doktor powiedział mu jedną rzecz szczególnie bolesną. Gdyby był wcześniej starał się o odpoczynek, nie potrzebowałby oddać mu teraz tak długiego czasu. Było to do pewnego stopnia to samo, co z życiem. Nie byłby zapewne wcale chorował, gdyby był miał stół pożywniejszy i używał więcej ruchu.

To przecież, co mu przepisał teraz, było niemożliwością. Kupił jedynie lekarstwo i zażywał, zresztą wszystko zostało po dawnemu: chodził co dzień do bióra. Przeszło tak kilka tygodni, było mu coraz gorzej, choć symptomata pogorszenia nie były widoczne. Żona przecież przeczuwała to, a raczej uważnie obserwując męża, odgadywała prawdę. Raz, już w ostatnich dniach lutego siedziała smutnie przy kominku, myśląc o mężu i usypiając na kolanach najmłodsze dziecko, dwuletnią córeczkę. Troje innych dzieci, najstarszy chłopczyk już miał rok dziesiąty, bawił się przy stole, budując sobie domki z małych deszczulek. Stół był pokryty czerwoną serwetą i mogły to robić na nim bez szkody. Pani Karolina Marks, była dobrą gospodynią i staranną matką, choć miała tylko jedną sługę, w domu był porządek i ład utrzymywany we wszystkim. Ona sama miała miły, sympatyczny pozór; choć w ostatnich czasach martwiła się stanem męża, nie wyglądała tak mizernie jak on, nie była tak jak on zużyta. Jej praca była inna; mniej wyczerpywała, starczyło jej też skromne życie, które wiodła. Ale dziś doznawała osobliwszego ścisnięcia serca, oblegały ją myśli bardzo bolesne i zapomniawszy przy nich o gospodarstwie, aż starszy chłopczyk William przypomniał jej o niem. — Mamo! kiedy będziemy dziś pić herbatę? zapytał. — Wszak już jest czas na herbatę....

Spostrzegła, że dziecko miało słuszną, zawołała na służącą, która wkrótce nakryła i przyrządziła do

wieczery. Wzięła pani z kolan uśpioną dziewczynkę i poszła z nią do sypialnego pokoju, matka zaś zaczęła sama nalewać dzieciom herbatę i mleko. Nie miała na nią i byłaby uważała za rzecz grzeszną, tak się urządzać wygodnie, gdy mąż potrzebował tyle pracować. Więc rozdawała dzieciom jedzenie, gdy usłyszała powóz zajeżdżający przed dom. Ogarnęło ją jakieś niespokojne przeczucie, i nadsłuchiwała wzruszona, aż wkrótce wszedł mąż, bardzo blady, w towarzystwie jednego z kolegów. — Przyprowadzam pani pieściucha — rzekł wchodzący—zasłabł nam w biurze i wolałem go odwiedzić....

— Już mi teraz lepiej—rzekł mąż, zdobywając się na uśmiech, a choć serce kobiety drgnęło i rozdarło się w piersiach, nie krzyknęła i usiłowała przyjąć rzecz, jak gdyby nie było w niej nic zastraszającego. Nie chciała wzruszać męża i uśmiechnęła się do niego również, dziękując jego towarzysowi za troskliwość. — Zostań pan z nami łaskawie na herbacie — rzekła gościnnie. — Willy, każ podać więcej filiżanek.

Dowiedziała się później, że mąż już od rana czuł się bardzo ciężkim i zmęczonym. Nie mógł sobie dać rady z robotą i ciągle zwracał się do kolegów o pomoc, aż nagle spadł z krzesła na ziemię. Doświadczył—jak powiedział—jakiegoś olśnienia, nie mógł się już wstać do roboty i jeden z kolegów odwiózł go do domu.

Był to stanowczy koniec walki, ostatni dzień biórowej pracy biedaka; w nocy powiedział żonie, co mu przepisał doktor, a nieszczęśliwa nie mogła powstrzymać jęku. Rok odpoczynku! A jak rok ten przeżyją? Co się stanie z dziećmi....

— Oh! myślała nieboga — gdyby mój ojciec nie był urządził życia w tak nieszczęśliwy sposób, mógłby być nam trochę pomagać, Jakub nie byłby się tak zameczał i nieszczęście nie byłoby przyszło.

Postanowiła teraz bronić mu się jak można, postanowiła nie zważając na nic, zwrócić się do serca ojcowskiego i błagać o ratunek. Ojciec ten—p. Filip Stockleigh — mieszkał aż na Sydenham. Żona zaraz po ślubie wyciągnęła go gwałtem z Peinlico, aby nie był blisko córki, to też od chwili zerwania nie widzieli się nawet na ulicy. Ale teraz zamierzyła zobaczyć go koniecznie, i nie mówiąc nic mężowi, zaraz nazajutrz po jego zasłabnięciu wybrała się z domu i łatwo znalazła mieszkanie ojcowskie.

Pani macocha była to silna w ciele i ducha osoba, ze stosownym rezonem, gdy przecież służąca otworzyła drzwi nieznanemu pani, poprosiła ją do parloaru, pani domu poznaawszy gościa, zmieszawszy się, straciła ducha i zwykłą wymowę. Ukłoniła się, prosiła siedzieć i powiedziała wcale przyjemnym głosem, że męża, na nieszczęście, nie ma w domu. — Poczekam—rzekła pani Karolina z odwagą i siadła spokojnie na małej kanapce, która niedługo stała w jej panińskim saloniku.

Pani domu zmieszana i niewiedząca jak się obejść z gościem, nie chciała przecież okazać się niegrzeczną, a nawet przeciwnie, zapragnęła być gościnną i kazała podać ciast i wina, na które uprzejmie zapraszała, Pani Karolina zauważyła tylko z przestraszeniem, że gospodynę wypuła trzy kieliszki.

Furtka ogrodu otworzyła się tymczasem i córka spostrzegła idącego ku domowi ojca. Był tak zestarzały i przygnębiony, że pod wrażeniem gwałtownego wzruszenia wybiegła naprzeciwko niemu do ogrodu.

— Karolka! zawołał zdziwiony i wyciągnął ręce mimowoli.—Ach—dodał—jakżeś się zmieniła!

— Papo — rzekła biedna kobieta z ogromnem wzruszeniem — przychodzę do ciebie z interesem. Czy możemy tu zostać, aby porozmawiać?

Ojciec może pragnął takiej samotnej rozmowy z dawno niewidzianem dzieckiem, bo poprowadził zaraz córkę ku oświeconej słońcem ławeczce i tam Karolina opowiedziała mu z płaczem wszystko, i prosiła o pomoc. Ale rozmowa ich nabyła wkrótce świadka. Jejmość obrażona o „spiski“, podeszła

ku ławce, stanęła z boku i słuchała w milczeniu, ta przecież, dla której obecna chwila miała dać wyrok śmierci lub życia, nie zważała już na nic. — Wszak nas nie opuścisz, papo? pytała ściskając ze łzami ręce ojcowskie.

— Chciałbym, chciałbym wam pomoc dać, gdyby środki moje pozwalały na to — odparł Filip Stockleigh niesmiało, podnosząc wzrok na żonę.

— Naturalnie — przyświadczyła jejmość — gdyby środki pozwalały.... Ale mając takie wydatki.... takie mieszkanie drogie, dwie sługi. A ciągle trzeba je zmieniać. O! niema środków! niema.... Wiesz dobrze, Stockleigh, że niema....

— Papo—prosiła córka wysłuchawszy w milczeniu zachwałę kobiety — papo! mam czworo dzieci. Jakub nie prędko będzie mógł pracować i jeżeli się nie zlitujesz, cóż się z nami stanie?

— Człowiek ledwo sam ma z czego żyć — zawołała jejmość rozpłomieniacząc się na twarzy coraz mocniej, bo ją to dotknęło, że Karolina nie zwraca się wcale do niej.—Wiesz dobrze, Stockleigh, że nie masz grosza nadto.... Nikomu nie dać nie możesz....

— Tak jest moje dziecko—szepnął biedny zmieszany człowiek, a Karolina poznała, że jest niewolnikiem kobiety, która go trzymała silnie w karchach swej woli. Siedziała nieszczęśliwa milcząc i patrzyła bolesnie w twarz ojca. Czarna jej suknia była pokryta kurzem.

— Jak tu się dostałaś, moje dziecko? zapytał ojciec po chwili. Jak przyjechałaś?

Pytając, patrzył na jej zapyłone ubranie i córka domyśliła się o co ojcu chodzić może. — Przyjechałam koleją, papo—trzecią klasą.

Ojciec ścisnął ze wzruszeniem jej rękę — Bóg widzi Karolino, że grosz jest dziś bardzo drogą rzeczą. Wydatki wzrosły w tych czasach, życie jest tak kosztownem.

— Chodź do domu — dodał — zostań z nami na obiad.

— Ach!—zawołała mistress Stockleigh — mamy dziś wołową pieczeń na całą paradę! Straciliśmy oboje apetyt i nie wiem już co kazać gotować.

Córka nie mogła przyjąć obiadu pod ojcowskim dachem. Nie byłaby zdolną nie jeść, a potem trzeba jej było śpieszyć z powrotem do domu. Czuli że wszelka prośba z jej strony byłaby daremną i w ściśnięte jej serce wstąpiła duma. — Żegnam cię papo—rzekła z boleścią. — Czyż nie zechcesz kiedy zobaczyć moich dzieci i biednego Jakuba?

Ojciec objął ją drżącym ramieniem i ucałował jak niedyś. Z macochą ukłoniły się sobie i nie wracając już do pokoju, Karolina zwróciła się do wyjścia. Ojciec szedł za nią smutny, przy furtce zatrzymał ją i wsunął jej w rękę suwerena.—Moje dziecko—rzekł głosem, który drżał—niech ci to zwróci koszt drogi. Tak mi było przykro usłyszeć, żeś jechała trzecią klasą—oh! jak przykro! Jakże czasy się zmieniły! To prawda, że nie mam nigdy odłożonego grosza, że nic nie mam dla siebie.... O moje dziecko, jakże byłem szalony! jak strasznie szalony!....

Na tem przerwała się rozmowa. — Niech Bóg ma cię w swojej opiece! rzekł pan Filip Stockleigh, żegnając córkę.

— Niech i ciebie, papo, Bóg ma w swojej opiece—odparła córka z goryczą.

(Dokończenie nastąpi).

Do dzisiejszego numeru „Bluszezu“ dołącza się dalszy ciąg powieści **Middlemarch**.

TREŚĆ: O powieści tegoczesnej, (dalszy ciąg), przez Jana Zacharjasiewicza.—**Niewiasta polska**, (dalszy ciąg), przez K. Wł. Wójcickiego.—**Historia o Janaszu Korczaku i o pięknej miecznikównie**, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego.—**Korespondencya zagraniczna**.—**Zepchnięty w dół**, (dalszy ciąg).